

O ZMIERZANIU DO KOŃCA

Jean AMÉRY. *O starzeniu się. Bunt i rezygnacja*. Przełożył z niemieckiego Bogdan Baran. Warszawa: Aletheia, 2018. 155 ss. ISBN 978-83-65680-27-3.

DOI: <http://dx.doi.org/10.18290/rf.2018.66.2-12>

1.

Esej *O starzeniu się* powstał w 1968 r.; cztery dekady później ukazało się jego polskie tłumaczenie (Warszawa: Czytelnik 2007). Zasadnie zapyta ktoś, dlaczego pisać o książce tak bardzo nienowej, która — co więcej — jest już polskiemu odbiorcy znana. Jakkolwiek co do drugiej części tego pytania można by się spierać, należy dokonać zwięzłego samousprawiedliwienia. Wydawnictwo Aletheia podjęło niepozorną decyzję — nieelegancko byłoby sugerować, że nieświadomie — która ma istotne znaczenie dla sposobu odczytania tego dzieła: otrzymujemy wydanie surowe, poprzedzone jedynie przedmowami autora. Najważniejszą różnicą w porównaniu z pierwszą edycją jest jednak to, że nie zdecydowano się już na połączenie dwu części: o starzeniu się i o samobójstwie. Dzięki temu esej czyta się już nie przez pryzmat znacznie bardziej przejmującego z racji swej wymowy i tematyki *Podnieść na siebie rękę*, osobnego studium wydanego w 1976 r. Pozwala to zawiesić na razie rozważanie tamtego tematu, z książki dowiadując się jedynie o „błazeństwie samobójstwa” (s. 149) i — w przedmowie — o późniejszej zmianie poglądu autora. Nadaje to rozprawie Améry’ego bardziej niekonkluzywny charakter, właśnie taki, jaki sama w sobie nosi, raczej pozostawiający z pytaniami niż skłaniający do odpowiedzi.

Pomylił się jednak ten, kto sądzi, że odpowiedzi — wyrazistego i jednoznacznego przekazu — nie ma w niej wcale. Przekaz, choć wyrażony z wdziękiem i wrażliwością, wzbogacony dosadną szczerością, jest aż do bólu czytelny. Pochwała starości w rodzaju tej, jaką kiedyś do obywatela rzymskiego imieniem Francesco wygłosił Bolesław Miciński (siwa głowa jako zaszczyt, który, inaczej niż młodość, nie każdemu przypada w udziale) uznałby Améry za żalospołną konsolację, a wzmianki o tych, którzy jak Abraham „syci dni” umarli w „pięknej starości” (*Księga Rodzaju* 25:8), za równie przesadzone jak przypisywana patriarchom liczba lat. Dla autora starość to klęska, a głównym przedmiotem swej pracy czyni „tragizm starzenia się” (s. 12). Sta-

rzenia się, nie zaś starości; starzejący się bowiem nie jest starym ani stojącym nad grobem (zob. s. 36, 49). To ważna dystynkcja w kontekście zrozumienia tytułu, a wraz z nim przesłania tej książki — starzenie się zakłada bowiem możliwość buntu, podczas gdy starość oznacza już rezygnację (s. 50). Jedno i drugie zostaje ukazane jako skandal, wyłom, niezrozumiała krzywda, którą jednak często zapoznaje się wskutek ulegania „społecznemu konsensowi”.

Zastosowana metoda introspekcji i wczucia (s. 7–8), oparcie na doświadczeniu, „sferze rzeczy przeżytych” (s. 7) oraz na „samym sobie” (s. 9) wyraźnie wskazują, że nie jest to rozprawa akademicka, lecz na poły literackie, egzystencjalno-fenomenologiczne studium problemu. Mówiąc na sposób ludzki o tym, co najbardziej ludzkie, jest to studium głęboko humanistyczne, które dałoby się określić mianem analizy immanentnej, jako że Améry w rozważaniu starości programowo odrzuca transcendencję. Nie chodzi tylko o absurd życia pośmiertnego (s. 137) czy też o zanegowanie religii, wprost nazwanej „największą i najbardziej ogłupiającą złudą” (s. 31), ale także o kategorie na pozór bardziej przyziemne, takie jak nadzieja, która — jak twierdzi autor, chyba nie bez racji — nosi w sobie zawsze jakąś konotację teologiczną (zob. s. 152).

Książka dzieli się na pięć części, uporządkowanych z imponującą starannością. Choć jak na esej-próbe przystało, forma wywodu jest dosyć luźna, rzuca się w oczy porządek i przemyślana kompozycja. Wartki tok narracji lekko i płynnie, niby niechcący, przechodzi między kolejnymi zagadnieniami, tylko na chwilę niekiedy pozornie zbaczając z tematu. Także elegancki i nienachalny styl zasługuje na słowa uznania. Lecz to przede wszystkim treść czyni tę pozycję godną polecenia.

2.

Najpierw dlatego, że stanowi głęboki i inspirujący namysł nad upływem czasu i przemijaniem. Czas i starzenie się wzajemnie się tu oświetlają. Ostatnie jest przede wszystkim doświadczeniem pierwszego. To w starzeniu się uzyskujemy dostęp do czasu, który okazuje się ukryty w nas, ale doświadczamy go głównie jako chaosu, czegoś najbliższego, co jednak nie daje się uchwycić, zarazem wroga i przyjaciela.

Młodzieniec żyje przestrzenią i jakby poza ciałem; z wiekiem staje się coraz bardziej czasem, agregatem wspomnień — a zarazem ciałem, o czym mówi rozdział drugi. W starzeniu ciało, chociaż słabsze, staje się człowiekowi bliższe. Nie służy już za narzędzie podboju świata, lecz jest — obok nawarstwionego w starzejącym się czasie — istotą i składową prawdziwego „ja”. Fizyczna słabość przywraca starzejącemu się jego ciało i samego siebie, dotąd istniejącego w rozproszeniu, poza sobą; ból stanowi „ureczywistnienie ciała w jego samozaprzeczeniu” (s. 60). W tym powrocie do ciała ukonkretnia się „ja”. Czy zatem starzenie się jest szansą na znalezienie siebie, ukonstytuowanie się, odkrycie tożsamości? Bodajże, ale jest to gorzkie samopoznanie i w tej mierze daremne, w przejmującym „już nigdy” konstatujące ostateczną klęskę — fakt, że najbardziej własną, lecz może z tego właśnie powodu tak dotkliwą. Jeśli starzenie się można na tym etapie przekuć w coś pozytywnego w jakiś

„przyrost «ja»” (s. 61), są to przypadki nieczęste, a powszechnie dominuje tu raczej poczucie zagubienia i alienacji. O ile młody człowiek istnieje zasadniczo poza sobą, o tyle starzejący się coraz bardziej skupia się na sobie, w ciągłym napięciu między odrazą i zadowoleniem. W tym też sensie starzenie się należy rozumieć jako zamykanie, postępujący nieuchronnie ucisk, z którego nie da się — powtórzmy: nie da się — wyswobodzić.

3.

Na kartach książki przewija się stale motyw dwuznaczności (*ambiguïté*) starzenia się, jego wewnętrznych napięć i sprzeczności, których przecież pełne jest samo życie. Nie tylko czas oraz ciało są tą dwoistością naznaczone. Istnieje też napięcie między „ja” przydzielonym przez społeczeństwo a „ja” doświadczanym wewnątrz — owym „ja” prawdziwym, które objawia się starzącemu w nielicznych momentach niby błysk oświecenia (zob. s. 66). Człowiek patrzy na siebie przez szkło społecznego wymogu, czy też swojego o nim wyobrażenia. W owym spojrzeniu innych także zachodzi dwoistość, bo choć to społeczne patrzyenie definiuje starzejącego się, okazuje się spojrzeniem niewidzącym. Staje się anonimowy: nikt go już nie dostrzega, chociaż on sam bardzo by tego chciał. Przystaje istnieć jeszcze za życia.

Młodość to okres, w którym jest jeszcze przed człowiekiem jakieś niespodziewane; starzejący się konstatuje — a raczej przyswaja sobie społeczny werdykt — że nic szczególnego już go nie czeka, został określony na podstawie tego, czym się dotychczas trudnił, tak że — inaczej niż młodzieniec — już się nie staje. Może wprawdzie tego wyroku nie przyjąć, może wbrew wszystkiemu pozostać, w zgodzie ze sobą, Talleyrandem w kaftanie bezpieczeństwa (s. 76–77), są to jednak przypadki nieliczne. Wiek społeczny to wszakże sprawa względna, zależna od różnorodnych okoliczności. Kiedy więc można mówić o wejściu w fazę starzenia się? Rozpoczyna się ona w momencie uświadomienia sobie, że pierwotne beztroskie bycie jako stawanie się, nieustająca i radosna projekcja, stało się w procesie tyleż niepostrzeżonym, co długotrwałym, byciem jako posiadaniem. Młodość jawi się tu niezobowiązującym poszukiwaniem, wymóg społeczny zaś jednoznacznie wzywa, aby się ustatkować. Spojrzenie innych nie znosi tego, co dynamiczne i nieokreślone, a umknąć przed tym spojrzeniem udaje się tylko wyjątkowym ideowcom, niekiedy wprost szaleńcom, oraz „krezusom, których majątek jest tak wielki, że już nic dla nich nie znaczy i ich nie determinuje” (s. 82). Z rzadka tylko pojawi się pytanie: kiedy się to wszystko stało? I towarzysząca zawsze takiej chwili refleksji przejmująca gorycz. W wymiarze społecznym starość oznacza koniec przyszłości, a człowiek jest już tylko tym, czym był.

Także tutaj objawia się dwuznaczność starzenia się. Wydostając się coraz bardziej poza obręb tego, co społeczne, coraz mniej podlegamy właściwym temu porządkowi żelaznym regułom logiki, coraz bardziej stajemy się naraz „«ja» i «nie-ja»” (s. 69). To, co dotychczas nas definiowało, czemu przez lata ufaliśmy jako gwarantowi swej tożsamości, traci swoją wiarygodność i zaciera się. Starzejący się oddala się od świata,

coraz mniej go z nim łączy i dzięki temu zyskuje szansę znalezienia siebie. Lecz prawdziwa tożsamość, rozumiana jako niewzruszony rdzeń, nie istnieje. Można o niej mówić tylko jako o istności dynamicznej, doświadczanej przez człowieka autentycznie, ale tylko na styku wielu nachodzących na siebie warstw, które zręcznie umykają, gdy próbuje się je ostatecznie uchwycić. Dlatego starzejący się staje się jednocześnie obcy samemu sobie.

Styl Améry'ego oraz charakter podejmowanych przezeń analiz pozwalają zaliczyć go w poczet mistrzów podejrzeń. Jego celem, czy bodaj nie misją, zdaje się przedarcie pod powierzchnię złudnych przekonań człowieka o samym sobie i wskazania prawdziwych motywów, którymi się kieruje. Widać to właśnie tutaj, w obszarze społecznego wymiaru starzenia się. Dowiadujemy się, że okazywany starszym ludziom szacunek, pełen politowania raczej niż rewerencji, jest fałszywy i pusty; w rzeczywistości pozornie beznamienne społeczeństwo żywi do starości wstręt, będący może pochodną lęku przed nicością, którą starzejący się są już wyraźnie naznaczeni. Nie sama starość wszakże jest odrażająca, ale owa przejmująca świadomość wiecznego nieistnienia. Młodszy, przypuszcza Améry, widząc w tym swój własny kres, reagują „oporem wobec niebytu, który wdarł się już w życie” (s. 88). Szacunek, nawet szczery, jest chcąc nie chcąc lekceważeniem, a może nawet aktem pogardy: oto człowiek, który swoje przeżył — już przeżył; jeszcze żyje, lecz to jakby nie miało znaczenia. Améry znakomicie wydobywa tę gorzką prawdę ze społecznej nieświadomości. Stary człowiek umrze, ale zanim dokona żywota, jego żywot już się dokonał, nic z jego wielkich chwil już się nie powtórzy; młodzi, ci, na których czeka świat, podziwiają go tylko o tyle, o ile czekają niespokojnie na swoją kolej, gdy miejsce niegdysiejszych panów życia — znów: tylko na krótko, lecz to bez znaczenia — będzie należeć do nich.

Wymiar społeczny wiąże się i przenika z tym, co Améry nazywa kulturowym starzeniem się. Przychodzi okres, kiedy posuwając się w latach, człowiek uświadamia sobie, że wraz z całym zgromadzonym w sobie czasem przestaje być aktualny. Próbuje zrozumieć nową rzeczywistość, przykłada do niej dawną miarę, przez co skazuje się na „błądzenie wśród kulturowych znaków epoki” (s. 103). Zdaniem Améry'ego nawet dobre chęci zintegrowania się z nowym systemem nie przyniosą oczekiwanego skutku: nie sposób przyjąć nowego systemu znaków inaczej, jak przez uczestnictwo od wewnątrz w jego powstawaniu. Starzejący się jest przeto skazany na bycie, tak czy owak, dziwakiem, „obcym przybyszem z przeszłości” (s. 107). Uświadamiając sobie boleśnie własną niewczesność, doświadcza raz jeszcze utraty świata. Odtąd nadal będzie w świecie, lecz jakby poza nim; rzeczywistość bowiem, w której przyjdzie mu się z coraz większym trudem poruszać, staje się nieprzyjazna, obca, wroga. Stanowi to zapowiedź ostatecznego i najbardziej wrogiego z kresów.

4.

W ostatniej części w sposób niejako naturalny Améry podejmuje namysł nad tym, do czego każde starzenie się prowadzi. Jakikolwiek żywić podejście, wierząc w jakąś formę wieczności lub nie, z perspektywy egzystencji, życia, które zawsze chce jedynie pozostać żywe, nawet jeśli doświadczane cierpienia mogą je czynić nieznośnym, trzeba przyznać Améry'emu rację w konstatacji, że śmierć jest „nieuchronną totalną klęską” (s. 128). Jest tym, co zarazem życie nicestwi i definiuje. Jest szansą, by tak rzec, spotkania się z samym sobą, lecz przede wszystkim jako „praprzecznosc” (s. 69), „absolutne Nie” (s. 135) jest „pustą niewiadomą” (s. 137), która zabierając przestrzeń i czas, „znosi sens wszelkiej przyszłości” (s. 30).

Rozważania Améry'ego skłaniają, by postawić pytanie o naturę starzenia się i starości. W czym istotnie ona tkwi: w świadomości czy w rzeczach? Jak istnieje: subiektywnie czy obiektywnie? Autor na to pytanie nie odpowiada, zdaje się wszak sugerować, że odpowiedź leży gdzieś pomiędzy. Nie da się starzenia zmierzyć i precyzyjnie określić, z pewnością jednak nie wystarczy czuć się staro, ale trzeba spełnić pewne obiektywne kryteria. Zobaczymy to lepiej, gdy starzenie się określimy za Amérym jako aktualizację — przez doświadczenie i przyswojenie — zrazu teoretycznej tylko prawdy o życiu jako umieraniu. Nie zazna jej młodzieniec; potrzeba żmudnego procesu opadania z sił, czynnej obserwacji własnego życia, oddającego z miesiąca na miesiąc coraz bardziej bezradnie pola nicości. Zdawałoby się, że w ten sposób łatwiej przychodzi znosić swój nieunikniony kres, lecz jest to wrażenie złudne. To prawda, że człowiek oswaja się ze śmiercią, ale właśnie owa bliskość nieistnienia, które w starzejącym się narasta z każdym dniem, jawi się „najgorszą ze wszystkiego intymnością” (s. 146). Człowiek młody, nawet jeśli już wie o śmierci i spogląda mu ona w oczy (metafora przez Améry'ego nielubiana), nawet jeśli się jej obawia, nie zdąży doświadczyć tego powolnego narastania dostępnego nie ciężko i przewlekłe chorym, na których wyrok zostaje wydany przedwcześnie, gdy wiedzą, że zostało im tylko kilka lat, a wyłącznie tym, którzy, starzejąc się, przebyli już odpowiednio długą drogę.

Ludzie są różni, różne jest ich umieranie, wspólny jednak jest pewien specyficzny do niego stosunek. Wydaje się oczywiste, że starzenie się jest chorobą nieuleczalną i śmiertelną, lecz fakt powszechnie znany niekoniecznie bywa osobiście akceptowany. W ogólności wszyscy starzejemy się i umieramy, ale jako jednostki postrzegamy siebie niczym Tołstojowski Iwan Iljicz, jakby starzenie się i umieranie miało nas zgoła nie dotyczyć. To jednak nie wszystko. Nawet jeśli nie wypieramy tej okrutnej prawdy i wiemy, że umrzemy tak jak wszyscy, nie umiemy ze śmiercią żyć.

Dla naszego doświadczenia własna śmierć jest zawsze nieobecna (w tym i tylko tym sensie rację miał Epikur, choć jego *tetrapharmakos* i tak niczego nie uśmierzał). Paradoksalnie jednak, jako egzystencjalna konieczność, właśnie w owej nieobecności się uobecnia. Zdaniem Améry'ego dokonuje się to w postaci lęku przed uduszeniem się, przed tym, że nigdy już nie odetchniemy swobodnie pełną piersią, kiedy wraz

z ostatnim tchnieniem przyjdzie nam na zawsze oddać także swoją wolność. Człowiek więc śmierci się przede wszystkim boi, nawet jeśli pozornie z nią walczy. Zazwyczaj na koniec i tak zawiera z nią mętny kompromis (s. 149–150); zbyt niezdolna jest świadomość ostatecznej klęski, by można stawić jej czoło. Lecz, zauważa autor, wszelkie oswojenie śmierci jest tylko ucieczką: umieranie jest absurdem i nie istnieje sposób, aby się do niego przygotować. Absurd starzenia się, starości i śmierci — oto zatrute żądło, które ostatecznie obraca walkę w niwecz.

A Améry? Walczy czy rezygnuje? Ostatecznie przecież, w obliczu totalnej anihilacji, czymże jest rezygnacja, jeśli nie przyzwoleniem? Jaka jest różnica? Gdzie leży wówczas granica między rozpaczą i nadzieją? Na te pytania nie da się odpowiedzieć. Jakkolwiek by było, Améry zdaje się postulować pewien heroizm, który dałby się może przekuć w formułę: mniej odwagę nie odwracać wzroku. Pobrzmiwa tu egzystencjalny postulat autentyczności wbrew wszystkiemu i w tym też sensie książka niosłaby przesłanie nie tak zupełnie pesymistyczne, ukazując starzenie się jako wyzwanie i możliwość osiągnięcia dojrzałości. Uważna i uczciwa lektura skłania jednak do stwierdzenia, że nie taka jest idea autora, a heroizm jest mu całkowicie obcy, jeśli nie wręcz odpychający. Być może wszakże da mu się przypisać przekonanie, że istnieje sens zgodności z samym sobą, która, choć w obliczu nicości i tak niczego nie zmieni — podobnie jak wszystko, co człowiek czyni pod słońcem — ma jednak sama w sobie jakąś wartość. Egzystencjalna prawda starzenia się ukazana tu zostaje na sposób dialektyczny — jako przyjęcie siebie przez samozaprzeczenie; człowiek, któremu społeczeństwo narzuca stanie się już dokonanym, czymś zatem, a zarazem niczym, przyjmuje ten nakaz, by tym samym mu się sprzeciwić. Tak wikła się w zadanie skazane z góry na porażkę, w tym jednak właśnie, jak twierdzi Améry (s. 98), daje się upatrywać jedyna możliwość prawdziwie godnej starości.

5.

Refleksjom tak subtelnym i przemyślanym trudno stawiać zarzuty. Jeśli jednak gwoli rzetelności szukać słabych stron, można by pokusić się o tezę, że Améry impetuje jedynie słuszny model starzenia się, temu, kto doń nie przystaje, zarzucając samoułudę. Zdaje się — choć trudno o tym wyrokować — że autor przedstawia pewien konieczny, a nie tylko możliwy wariant starzenia się. A czy nie można pomyśleć różnych scenariuszy, tak jak różnorodne bywają wszelkie ludzkie losy i stosunki? „Starzenie się jest cierpieniem” (s. 66) — a jeśli już młodość jest cierpieniem i starzenie się, oddalając od niego, zdaje się przynosić wyzwolenie? Czy trzeba by tu poprzestać na banale starzenia się od dnia urodzin? Tego wątku Améry nie podejmuje. Prowadzi to do innego pytania: na ile przedkładane w książce rozważania są uniwersalne? Łatwo jednak zauważyć, że dotyka ono daleko szerszego zagadnienia prawdomocności dyskursów filozoficznych w ogóle, co — jak łatwo zrozumieć — nie może nas tu interesować.

Być może inne byłyby konkluzje Améry'ego, gdyby zechciał otworzyć się na inną niż tylko egzystencjalno-nihilistyczna perspektywę. Nie godzi się wszakże imputować dziełu, co byłoby dla niego lepsze. Dość tylko powiedzieć, że istotnie nie ma w tej książce — słowo „brakuje” byłoby już nie na miejscu — perspektywy dialogicznej, zdaje się, że obcy jest autorowi wymiar relacji, zaufania czy poświęcenia dla innych. Nawet w społecznym aspekcie swych analiz nie wykracza poza jednostkową, niemal solipsystyczną perspektywę. Co więcej, nieobecna jest też kwestia stosunku starzejących się do podobnych sobie towarzyszy niedoli; jej rozwinięcie mogłoby rozważania Améry'ego jeszcze ubogacić.

Faktem jest też, że deprecjonowanie starości możliwe jest zwłaszcza w społeczeństwie, w którym doczekać się siwizny nie jest już niczym wyjątkowym. W tym sensie książka Améry'ego jest dzieckiem swoich czasów. Na poziomie swego zasadniczego przesłania jest jednak ponadczasowa. Podejmując, należąca — zdaniem Améry'ego — do czytelnika, „decyzję o sensie lub bezsensie, wartości lub bezwartowości tej pracy” (s. 8), niżej podpisany opowiada się za sensem i wartością. Tkwią one w głębi myśli, jasności wyводу, ale nade wszystko w brutalnej prostolinijności. Narracja uderza bezpośredniością i ma z założenia odzierać ze złudzeń. Być może tylko przyroda starzeje się pięknie, bo w jej starzeniu tkwi z natury zadatek nowej młodości; ale człowiek, istota, której przywilej nieśmiertelności został odmówiony, skazany jest na krótką i ponurą tułaczkę między dwiema nicościami. Myśl ogołocona, życie w jego okrutnej, nieubarwionej szacie, stojące w obliczu nieściągającej prawdy śmierci — oto zarys bogactwa tej rozprawy. Niewątpliwym jej walorem jest też to, że pomaga przemyśleć społeczny status ludzi starszych i lepiej zrozumieć ich możliwe wyobcowanie. Można z tym wszystkim zrobić wiele, wcale nie tylko „podnosząc na siebie rękę” Nawet czytelnik o innym od autora światopoglądzie może z tej pozycji skorzystać. Mądrze przemyślana, przysłuży się także wierzącemu (choćby w człowieka), bynajmniej nie w porzuceniu swojej wiary, ale też niekoniecznie w buncie i rezygnacji. Być może bowiem istnieją jeszcze inne co najmniej równie uprawnione strategie radzenia sobie z nieuniknionym zmierzaniem do końca, których Améry nie uwzględnił. O tym już jednak mowy być tutaj nie może.

Michał Węclawski
doktorant w Instytucie Filozofii
Uniwersytetu Wrocławskiego
e-mail: michau000@poczta.onet.pl
michal.weclawski@uwr.edu.pl
ORCID: <https://orcid.org/0000-0001-6079-535X>